„GRAJCIE A GĘDŹCIE..."

BOŻENA WINNICKA

Wszyscy niemal zajmujący się „Legionem" Stanisława Wyspiańskiego określali ten utwór jako ciemny i zawiły, trudny i pełen „ustępów mglistych", działający „na umysł mętnie i ciężko". Określenia różne, sens ten sam. Istotnie jest „Legion" nieznośnie patetyczny, podniośle tragiczny i okrutnie symboliczny. I bardzo młodopolski, miejscami po prostu grafomański. Napisany jest bowiem w stylistyce określonej, zrozumiałej i praktykowanej w początkach naszego wieku, lecz tak różnej od naszych gustów, że wydać się może barierą nie do przebycia i manierą nie do pokonania. Prawie co trzecie słowo zaczyna się tu od dużej litery, a są to słowa, do których przyzwyczailiśmy się odnosić z pewną nieufnością. A więc: Naród, Sprawa, Czyn, Wolność, Sława itd. Na domiar wielkie słowa wypowiadają tu wielcy lub przynajmniej niepospolici ludzie. Postaci historyczne: Mickiewicz, Krasiński, dwaj papieże, Grzegorz XVI i jego następca Pius IX, matka Makryna Mieczysławska, ksiądz Jełowicki, car Mikołaj I. A także postaci wyimaginowane, święci oraz duchy wzięte z tradycji mitycznej i religijnej, teraz przez Wyspiańskiego na scenie ożywione. Jest to skłonność literacka dziś wyjątkowo kłopotliwa i nastręczająca wiele kłopotów przy scenicznej realizacji „Legionu". Łatwo bowiem, czytając utwór, rozszyfrować jego zagadki i symbole, trudniej pokazać je w teatrze tak, żeby były zrozumiałe. Kto z widzów wie i pamięta, kto to była matka Makryna na przykład? A i o legionie włoskim Mickiewicza niektórzy zapewne zdążyli już od lat szkolnych zapomnieć. W najlepszym przypadku mgliste jedynie zachowali wspomnienia. Przypomnijmy więc fakty, gdyż wydają się one istotne w rozumieniu i interpretacji „Legionu".

Jest rok 1845. W Paryżu pojawia się matka Makryna Mieczysławska, bazylianka z Mińska. Ona jedna wyszła z życiem z pogromu klasztoru. Opowiada o męczeńskiej śmierci mniszek i torturach, jakie sama przeszła. Zniosła je w pokorze, nie wyrzekła się wiary. Matka Makryna staje się moralnym autorytetem. Traktowana jest jak święta. Dostępuje zaszczytu audiencji u papieża. Legendzie bazylianki oczywiście ulegają nasi wieszczowie. Cała trójka. Słowacki uwiecznił ją w wierszu „Rozmowa z Matką Makryną". W rzeczywistości była to oszustka i mitomanka. Okazało się później, że wcale nie była zakonnicą, a wszystko, co opowiadała, wyssane było z palca. Ale o tym Wyspiański nie wiedział. Mickiewicz na razie jest jeszcze gorliwym wyznawcą Towiańskiego. Dopiero w rok później zerwie z mistrzem Andrzejem, który jego zdaniem „zgubił z oczu czas". Ostatnie lata Mickiewicza są wprowadzaniem w życie koncepcji Sprawy jako ruchu polityczno-społecznego, podjęcie nie Idei lecz Czynu. Legion polski we Włoszech miał być armią republikańską i socjalistyczną, „podniósł chorągiew narodową i zarazem ogłosił skład zasad Odradzającej się Ojczyzny". Legion był zaczątkiem krucjaty, a Skład Zasad jej programem. Napisany w stylu tekstu sakralnego, formułował program walki o wolność i równość społeczną, pomoc narodom słowiańskim i wszystkim uciemiężonym. Miał więc zamierzenia radykalne. Dawno już dowiedziono, że mickiewiczowski legion nie był utopijnym porywem marzyciela. W każdym razie niezupełnie. Czas był rewolucyjny, czas Wiosny Ludów. Mickiewicz opuszcza Rzym z jedenastoma zwerbowanymi legionistami. Przemarsz przez Włochy staje się marszem triumfalnym. Mickiewicz przemawia, wzbudza entuzjazm tłumów, witany jest wszędzie radośnie i uroczyście, wojsko oddaje mu honory. Garstka straceńców ze słowiańskim poetą na czele wydaje się symbolem walki o wolność narodów, a więc Italii także. Wkrótce było ich już 165. Walczyli rzeczywiście przez rok, aż do rozbrojenia armii włoskiej. Nie przyjęli propozycji Garibaldiego przyłączenia się do jego oddziałów. Usiłowali przedostać się na Węgry i tam walczyć z austriacką armią. Zdołali dotrzeć do Grecji, kiedy rewolucja na Węgrzech upadła. Wreszcie rozproszyli się po świecie. Pozostali nieznani, anonimowi Dla nas. Nazwiska ich znane są historykom. W legendzie utrwaleni jako daremny, romantyczny zryw, jeszcze jeden przejaw polskiego obłędu. Legion Mickiewicza wtedy był czynem. Dziś skłonni jesteśmy nazwać go gestem.

„Legion" Wyspiańskiego obejmuje owe trzy lata życia Mickiewicza, 1845—1848. Dzieje się w Rzymie. Zaczyna się audiencją matki Makryny u papieża. Potem w szeregu scen niesłychanie monumentalnych pokazuje Mickiewicza czyn aż do ostatecznej klęski. W ostatniej, dwunastej scenie poeta wraz z dwunastoma uczniami-legionistami-wioślarzami-apostałami płynie w Arce. Jest noc „nad wielkimi wodami". Wokoło kłębią się ciała, „co w gwałtownym uścisku sprzężone, żrą się wzajem, szarpią, mordują". Kończy się dramat podpaleniem przez Mickiewicza łodzi wraz ze zbuntowanymi uczniami. Mickiewicz woła: „Zmartwychwstaniecie młodzi!", I didaskalia: „Wśród łun pożaru widać Tanatos, jak kieruje sterem Korabiu". Tanatos — uskrzydlony bożek śmierci. Obraz symboliczny, jak zresztą cały ten dramat. Rzeczywistość miesza się tu z fikcją, realne z imaginacją, historia z wizjami. Symbolem jest tu wszystko właściwie. I Rzym z jego Koloseum, Kapitolem, Forum Romanum, Via Appia — drogą śmierci. I ci Guślarze, Świtezianki, Rapsody, i święty Andrzej, patron Słowiaństwa zstępujący z obrazu i błagający o mękę. Symbolem jest i Makryna, i Mickiewicza czyn, i jego arka z dwunastoma apostołami. W teatrze trudno jednak grać same symbole. Powstanie wtedy zupełnie nieczytelna abrakadabra. Ci, którzy „Legionu" nie znają, nie zrozumieją nic zgoła. A takich jest przecież większość. Może więc wystarczy ogarnąć tylko sens i temat, pomijając zawiłe i niejasne szczegóły, a całość sama się złoży w jako tako spójne widowisko? Otóż nie. Te scen dwanaście, ten — jak określił Kotarbiński — „zlepek fantastycznej galarety, która co chwila zmienia swe formy" ma jednak pewną dramatyczną konstrukcję. Wiedzie od nadziei do klęski, od podjęcia czynu do jego tragicznego końca. I obojętne jak rozumieć można przyczyny klęski, kogo obarczać za nią winą i odpowiedzialnością — Mickiewicza czy legionistów, a więc naród, który nie sprostał swojej powinności, nie dorósł do wymiarów czynu, ta struktura, linia wiodąca od wiary do śmierci jest przecież czytelna, jasno przeprowadzona.

„Legion" jest utworem wymykającym się jednoznacznej interpretacji. Różnie też był tłumaczony i rozumiany. Jako tragedia Mickiewicza i tragedia mistycyzmu polskiego, jako wewnętrzna walka idei w genialnej jednostce i demistyfikacja wieszcza, skompromitowanie jego utopijnych idei. Za i przeciw romantycznym mitom. Jest bowiem „Legion" jakby zawieszony między podziwem, apoteozą wieszcza i ideologa a potępieniem naszych słabości, polskiego duru i narodowego obłędu. Może być zadumą nad tragicznym losem narodu i gniewną diagnozą śmiertelnej choroby, jaką jest zgoda na ujarzmienie narodowej wyobraźni przez charyzmatycznego wodza, którego polityczna naiwność prowadzi lud do zagłady. Można go grać jako utwór o potrzebie idei i o kryzysie ideologii. To tak absolutnie różne czytanie dramatu da się z tekstu wyprowadzić i tekstem usprawiedliwić.

Wszystkie te komplikacje i trudności musi pokonać teatr wystawiając „Legion". Na domiar na pewno nie jest to najlepsze dzieło Wyspiańskiego. Dlatego sceniczne jego dzieje są krótkie. Trzy przedstawienia przed wojną, dwa po wojnie, to istotnie niewiele. Przed wojną na przeszkodzie stały niesłychanie wielkie koszty, jakie pochłonąć musiało przygotowanie tylu monumentalnych dekoracji. I nie tylko. Pawlikowski wykręcał się od wystawienia „Legionu" kłopotami ze zdobyciem „tak gigantycznych aktorów". Po wojnie odstraszała zapewne reżyserów luźna budowa i patetyczny styl dramatu. W każdym razie wszystkie próby wprowadzenia „Legionu" na scenę kończyły się niepowodzeniem, uwiecznionym w złośliwych recenzjach Boya i Słonimskiego. Wyjątkiem było katowickie przedstawienie Jerzego Kreczmara z roku 1969. Pierwsze po wojnie i jedyne dobrze, a nawet wysoko przez krytykę oceniane. Jak pisał Zygmunt Greń stworzył Kreczmar „logiczną konstrukcję przedstawienia... o losach Polski, o daremnych nadziejach i tragediach tych, którzy odważyli się podjąć walkę z losem". Kreczmar podważył zatem mit niesceniczności „Legionu". Dla jego następców może to być zachętą a równocześnie przestrogą. Zachętą do podejmowania dalszych prób zmierzenia się z tekstem; przestrogą przed wystawianiem dramatu bez scalającej go myśli i wyraźnie wydobytych sensów. Ryzyko takie podjął Teatr im. Słowackiego pod dyrekcją Jana Pawła Gawlika. Właśnie „Legionem" Wyspiańskiego zainaugurował on swoją na tej scenie kadencję. I z tego względu przedstawienie należy potraktować poważnie. „Legion" wyreżyserował Andrzej Maria Marczewski, scenografia Jerzego Michalaka, muzyka Lucjana Kaszyckiego, choreografia Jerzego Stępniaka.

Z ładnego, starannie opracowanego programu wynika, że zamierzeniem realizatorów była demistyfikacja Mickiewicza jako przywódcy, ideologa, wodza. Dalej — kompromitacja poezji grobów, której przeciwstawieniem powinno być Konradowe „być i trwać" z napisanego później „Wyzwolenia". Wszystko to jest niewątpliwie słuszne jako diagnoza. Niestety, z przedstawieniem niewiele ma wspólnego. Żywe prawdy można mówić tylko w żywym teatrze. To, co zobaczyliśmy na wielkiej scenie Teatru Słowackiego, jest skrzyżowaniem narodowej, uroczyście celebrowanej mszy z okolicznościową akademią. Może więc rację miał Kotarbiński uporczywie nazywając „Legion" poematem. Poematy recytuje się na akademiach.

Dekoracja Jerzego Michalaka jest przestrzenna i estetyczna. Czarne ściany, dwa szare podesty po obu stronach sceny, połączone w tyle pomostem. Są jeszcze rzeźby, figury zaśniedziałe. Wyrastają z nich gałązki. Nad całą sceną ogromny, czarny krzyż. Wychodzi pod podniesioną kurtyną Siemiradzkiego aż na widownię. W tej trumiennej dekoracji na podestach rozrzuceni są aktorzy. Jest ich trzynastu, w zwyczajnych, współczesnych ubraniach. Stoją na scenie, kiedy publiczność wchodzi na widownię. Zaczynają mówić, światło na widowni nie gaśnie zupełnie. „Legion" zaczyna Marczewski fragmentem sceny dwunastej, ostatniej, w której Mickiewicza uczniowie, ten „orszak Sprawników Sprawy" odmawia posłuszeństwa wodzowi. Nie chcą ginąć daremnie i bezimiennie w kłębiących się wodach, przykuci do Arki siłą fatalną. Ci współcześni panowie, czyli lud, czyli naród, grają potem chór, chłopów, szlachtę, legionistów, patrycjuszy rzymskich. Zmieniają kostiumy, będą Mickiewicza protagonistami i wielbicielami, na przemian gorliwymi wyznawcami i równie nieubłaganymi przeciwnikami. Ten publicystyczny chwyt jest klamrą spinającą spektakl. Efektowną, być może, lecz zdradliwą. Zaczynając rzecz od końca łamie bowiem Marczewski pozornie wątłą, ale przecież istniejącą dramaturgię „Legionu". Już pierwsza scena mówi właściwie wszystko, co reżyser miał nam do zakomunikowania przy pomocy utworu Wyspiańskiego. Jest to zatem rozliczenie nas, współczesnych z fałszywymi idolami, wodzami. Przestroga, że także nas spotkać może los straceńców. Uwiedzeni wielkimi słowami, skuci nimi, staniemy się tak samo niewolni jak niegdyś nasi przodkowie.

Wszystko to wynika z pierwszego, krótkiego fragmentu przedstawienia. I na tym właściwie można by rzecz zakończyć. Cała reszta to szereg nie powiązanych ze sobą scen, z których jedna przeczy drugiej, wprowadzając chaos zapewne nie do odczytania dla tych, którzy „Legionu" nie czytali. Kłopot bowiem w tym, że Mickiewicz w „Legionie" nie tylko bredzi. Przeważnie mówi logicznie i do rzeczy, choć podniośle i do rymu. Więc czasami uda się zrobić z niego durnia, podpuścić i wsadzić na piedestał, ale tak całkiem nie daje się skompromitować. Wbrew wysiłkom reżysera i mimo faktu, że jest to „Legion" bez Mickiewicza. Aleksander Bednarz gra bowiem egzaltowanego fajtłapę. Czasem się zdenerwuje i ruszy z chorągwią na papieża, ale tak w ogóle to raczej nieszkodliwy maniak. Trudno zresztą winić aktorów. Przedstawienie jest statyczne i retoryczne. Wszystko w nim polega na obrazkach i wypowiedzeniu tekstu. Niektóre obrazki są ładne, a niektóre okrutnie anachroniczne. Zwłaszcza Guślarzy i Świtezianki jakby żywcem przeniesiono z Teatru Miejskiego pana Kotarbińskiego. Dziś jest to po prostu teatralna grafomania. Z aktorów broni się Wojciech Ziętarski, logicznie i spokojnie mówiący tekst Piusa IX. Ze zrozumieniem wypowiadają swe role Jacek Chmielnik (Krasiński), Ryszard Sobolewski jako Cezar i Grzegorz Matysik w ostatniej scenie jako Ten podobny św. Janowi. Nawet tak dobra i wyrazista aktorka jak Halina Gryglaszewska nie zdołała nadać sensu postaci Makryny Mieczysławskiej. Dlaczego Marian Dziędziel jako Mendog pokazuje się na widowni cały zbroją pokryty, pozostaje zagadką.

„Grajcie a gędźcie", mówi Guślarz w „Legionu" scenie ósmej. Więc muzyka przygrywa niemal bez przerwy, w różnych rytmach, a aktorzy gędźla. Może gędzą?

Niektórych widzów może na tym przedstawieniu ogarnąć nastrój religijno-patriotyczny. Jedno jest pewne. Teatr im. Słowackiego zafundował sobie największy krzyż ze wszystkich scen krakowskich w minionym czterdziestoleciu. Nie jestem przekonana, czy nadużywanie symboli religijnych zamieni teatr w świątynię sztuki.

BOŻENA WINNICKA

„Legion" Wyspiańskiego w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Scena zbiorowa.